NUMER 19. DNIA 10-go MAJA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

GENERAŁ MALLETSKI

(ZE WSPOMNIEŃ RODZINNYCH). (5)

(Dokończenie.)

Że mój ojciec był nie tylko uczonym w swoim zawodzie, ale i wszechstronnie wykształconym, świadczy wysokie stanowisko, jakie sam sobie zawdzięczał, szacunek, jaki otaczał go wszędzie, którego dowody znajdują się w listach wielu znakomitych osobistości. Wszyscy zwracali się do niego z największem uznaniem. W roku 1811 został członkiem Rady edukacyjnej, do której należeli dygnitarze i uczeni, jak ksiądz prymas gnieznieński, wojewodowie: Aleksander Potocki, Stanisław ordynat Zamojski, Walenty Sobolewski, Niemcewicz, Staszyc, Bogumił Linde, Onufry Kopczyński. Rada ta trwała do r. 1813, w którym została zawieszona.

W tymże roku zaproszony został na członka czynnego Towarzystwa gospodarczo-rolniczego, na którego czele stał wówczas Gutakowski.

W roku 1814 został mianowany dyrektorem szkoły elementarnej kadetów warszawskich z pensją czterech tysięcy zł. p., znaczną na owe czasy.

Po utworzeniu Królestwa kongresowego, ojciec nie tylko zachował swoje stanowisko naczelnie dowodzącego inżynierją, ale uzyskał stopień generała, a widząc ustalone stosunki polityczne kraju, przyjął obywatelstwo polskie. Pierwszy raz w roku 1817 spotykam w papierach jego nazwisko Malletski, samego zaś aktu naturalizacji nie znalazłam.

Gdy w roku 1821 rozpoczynały się znowu narady nad reformą edukacyjną, został ponownie do nich wezwany przez Radę administracyjną. Odbywały się one mniej więcej w tym samym komplecie, co przed dziesięciu laty za Księstwa Warszawskiego.

Jak zaś wielką musiała być powaga naukowa ojca, świadczą listy znanych osobistości, które zwracały się do niego, prosząc o radę w rzeczach zawodowych, przysyłały mu swoje dzieła i plany, odzywając się zawsze, jak do mistrza.

Między innemi znalazłam dwa listy księcia Aleksandra Wirtemberskiego, który w roku 1815 i 1827 przesyłał pod sąd ojca swoje prace, jako do najlepszego znawcy, prosząc, by raczył rzucić na nie okiem. A w roku 1837, już kiedy ojciec osiadł w Zbożennie, generał Gołowin prosił go w sposób usilny, ażeby zechciał udzielić mu jakichś wskazówek co do kanału Augustowskiego, którego on był twórcą.

Uniwersytet wileński w roku 1829 mianował go swym członkiem honorowym; był też kilkakrotnie dekorowanym, otrzymał ordery św. Stanisława i św. Anny pierwszej klasy.

Najważniejszą jednak pracą jego inżynierską w tym zakresie i najskuteczniejszą dla kraju, było wykopanie kanału Augustowskiego, łączącego Wisłę z Niemnem. Cała ta praca wykonana została według jego planu i pod jego kierunkiem. A trzeba pamiętać, jak ważnemi były komunikacje wodne w czasach, gdy nie znano kolei.

Kanał rozpoczęty był w roku 1824 i mój ojciec, naturalnie, spędzał większą część roku w miejscowościach, przez niego przerżniętych. Zaskarbił sobie wówczas powszechną przyjaźń i uznanie obywateli okolicznych zupełną bezinteresownością. Powierzał im najchętniej dostawy i antrepryzy, których było wiele przy tak ogromnych robotach, uważając, iż w kraju, wyniszczonym długiemi wojnami, rolnicy, którzy najwięcej ucierpieli, powinni mieć pierwszeństwo. Czynami jego zresztą rządziła ścisła sprawiedliwość, a że miał charakter dobroduszny i życzliwy, zostawił w Augustowskiem najlepsze wspomnienia i liczne grono przyjaciół, którzy długi czas listownie odzywali się do niego, zawiadamiali o wydarzeniach, zaszłych w ich rodzinach, z całą serdecznością.

Na mnie nawet spadła w puściźnie cząstka miłości, jaką go otaczano, bo kiedy, będąc jeszcze młodą, odwiedzałam krewnych męża w Augustowskiem, przyjeżdżali umyślnie witać mnie starzy przyjaciele ojca i mówili o nim z największem uznaniem. Miljony przechodziły przez jego ręce i stały się źródłem dobrobytu dla całej okolicy, która go błogosławiła. Przestrzegał pilnie, by nie było nadużyć, ani łapówek, których też sam nigdy nikomu nie dawał.

Kiedy wojsko polskie istnieć przestało, zaproponowano ojcu w roku 1833 służbę w Rosji, a mianowicie fortyfikowanie Kronsztadu. Pojechał więc do Petersburga, gdzie znajdował się generał Bontemps, jego stary przyjaciel, ale widocznie trudno mu było w późnym wieku przystosować się do odmiennego społeczeństwa, stosunków, klimatu, ludzi i zwyczajów, bo, po czterech latach, z których blisko półtora spędził na urlopie pod pozorem nadwątlonego zdrowia, wziął dymisję, wrócił do kraju i osiadł w Zbożennie, gdzie wiódł życie, jakie pamiętam i opisałam.

Zdrowie miał doskonałe, raz tylko w życiu chorował przez dni parę, a umarł nagle, rażony apopleksją, w r. 1846. Mówiono mi tylko o tem niespodziewanem nieszczęściu, którego nic nie zdawało się zapowiadać, skoro właśnie wtedy matka zostawiła mnie w Krakowie.

* * *

O ile sobie dziś mogę wytworzyć postać ojca na mocy zebranych dokumentów, opowiadań i wspomnień, widzę, iż był niezmiernie dobrym, względnym, wchodził w położenie i potrzeby osób, od siebie zależnych; a w zwierzchniku, mającym tak wielką, niemal dyskrecjonalną władzę, zwłaszcza w wojsku i przy ciągłym stanie wojennym, stanowiło to przymiot niezmierny; Jednał on też mu serca podwładnych i otoczenia.

Wojna była mu wstrętną, wbrew obyczajom starych żołnierzy mówić nawet o niej nie lubił. Nie pamiętam, by kiedykolwiek opowiadał jaki epizod z bitew, w których brał udział, chociaż wspominał chętnie różne inne swoje przygody. Nie miał też wcale drapieżnych instynktów, a najlepszym tego dowodem, że nigdy nie polował.

Zapewne wybrał sobie zawód inżynierski z powodu zdolności matematycznych, a w owym czasie inżynierja cywilna nie miała jeszcze dzisiejszego znaczenia. Przy tem w czasie rewolucji wojskowość była we Francji nie tylko obowiązkiem każdego obywatela, ale karjerą, jedyną dla uczciwych ludzi wśród społecznego rozprzężenia rewolucji. A mój ojciec był przedewszystkiem uczciwy. Kierując wielkiemi robotami, nigdy nie korzystał ze sposobności i nigdy nie miał z nich nawet zysków, jakie niektórzy, choć niesłusznie, uważają za uprawnione.

Odwaga była także w owych czasach rzeczą pospolitą, a jednak ojciec słynął z tego, że był nieustraszonym i utrzymywał zawsze, iż nie zaznał wcale uczucia trwogi, nawet w pierwszej bitwie, kiedy żołnierz odbiera chrzest ognia, a najwaleczniejsi nawet przyznają się do straszliwego wrażenia.

Słowa te były zupełnie szczere, bo, chociaż południowiec, ojciec nie miał wcale tej blagi, tak powszechnie im zarzucanej. Szybkie, krótkotrwałe wybuchy gniewu były w nim jedyną oznaką krwi południowej. Sam zaś nie tylko nie kłamał, ale nie miał tej przesady i samochwalstwa, przysłowiowego niemal u południowców.

Nie znam dalszej genealogji ojca, ale może była tam jakaś przymieszka krwi flamandzkiej, która zniweczyła zwykłe wady krwi prowansal-

skiej, a połączona z nią wyrobiła bierną odwagę, jakiej właśnie inżynierja wymagała. Ojciec nie mógł uczestniczyć w szarżach, ani nacierać na nieprzyjaciela, ale pod jego ogniem musiał trwać na stanowisku i zajmować się właściwemi inżynierji pracami.

Na wojnę zapatrywał się filozoficznie, bez żołnierskiego zapału. Mówił nieraz do mego wuja w chwilach stanowczych: „Wojna jest największą niedorzecznością, można w niej stracić życie, zostać kaleką, ale trzeba spełnić swój obowiązek". Wojna była więc dla niego ciężkim obowiązkiem, sprzecznym z jego dobrą naturą i z owem „równo", do którego zawsze powracał. Pomimo to wytężał siły i zdolności, by obowiązek ten spełniać zawsze wiernie i gorliwie.

Może też w czasie odbytych licznych kampanji widział tyle rozlanej krwi, tyle strasznych rzezi, nędzy i pożogi, iż zostawiły mu one w duszy wstręty niepokonane.

Nie cierpiał też ścisłych form wojskowości, etykiety i stroju wojskowego, który, zwłaszcza w owych czasach, był tak bardzo niewygodny. Matka opowiadała mi nieraz, że, kiedy nadeszła wreszcie do Zbożenny upragniona dymisja, o którą podał się oddawna, zrzucił i podeptał mundur, ten widomy znak uciążliwej służby.

Znane jest powszechnie fanatyczne uwielbienie, jakie Napoleon wzbudzał w całej swej armji. Mój ojciec pod tym względem stanowił wyjątek, jakkolwiek nie miał nigdy powodu uskarżać się na Napoleona, który znał go i cenił, jak o tem świadczy sam ten fakt, że go wybrał na instruktora inżynierji, oraz, że, jakkolwiek przeniósł się z francuskiej do polskiej służby, otrzymał potem także krzyż oficerski Legji honorowej. Pomimo to zapatrywał się na wielkiego wojownika równie krytycznie, jak na wojnę, i nazywał go w sposób charakterystyczny: „*un brouillon*", który nie dawał nikomu spokoju.

Dziwiono się, a nawet gorszono powszechnie uczuciami, tak różnemi od tych, jakie wogóle żywili napoleończycy dla swego cesarza. Nawet jego upadek ojciec uważał za rzecz słuszną i pożądaną. Widocznie miał naturę samoistną, oporną wszelkiej suggestji, rzecz, najrzadziej spotykana na świecie, nad którą zastanawiając się teraz, uczuwam dla niego tem większy szacunek.

Ostry sąd jego o wojnie i jej bohaterze podnosi znaczenie człowieka, który wywiązywał się wzorowo z przyjętych obowiązków, ale ducha nie oddawał w poddaństwo, i sądził w swem sumieniu sprawiedliwie i rzeczy i ludzi, nie czyniąc nawet wyjątku dla bożyszcza i postrachu ówczesnego świata.

To pewna, że ojcu memu nie imponowały żadne wielkości i nie wpływały też na jego sądy i postępowanie. Nie miał ani odrobiny serwilizmu, który tak łatwo służba każda wyrabia. Nie było też w nim zgoła materjału na dworaka. Świadczy o tem pełno wypadków z jego życia, o których w domu często wspominano.

Jeżeli udało mi się z tej szczupłej liczby faktów i wspomnień wytworzyć, choć szkicowo, postać zacnego człowieka, który odegrał wybitną rolę w naszem społeczeństwie, będę zupełnie zadowolona. A może też ktoś, kompetentniejszy odemnie, zwróci na nią uwagę i, korzystając z szerszych źródeł, oceni jego prace i ich znaczenie.

Walerja Marrené Morzkowska.

WŁADYSŁAW ORKAN.

POMÓR.

P O W I E Ś Ć.

(7)

(Prawo przekładu zastrzeżone.)

I poczęła się kłótnia, w której po jednej stronie stał Józek ze swoją mądrością, po drugiej Walek i Anielka ze swojemi mocnemi głosami; bo się oboje zawdy wspomagali. — Józek w końcu, chcąc nie chcąc, musiał im ustąpić. Najzwyczajniej rozstrzygał kłótnię płacz Anielki i ucieczka jej o pomoc do mamy. Tym razem jednak obeszło się bez płaczu i skargi, bo Józek się niedługo upierał przy swojem, jako że sam wolałby jeść obiad na obiad, niż na wieczerzę.

Znowu zaległa cisza, bo i niewiasty urwały rozmowę. I tak się działo do znaku w tej izbie, jak w zachyleniu górskiem. Duchnie wiater znienacka, porozchwiewa drzewa, widzi się: nie ustanie rozgwar zapoczęty — a tu się nagle urywa, rozprasza się w szmerze i cisza taka nastaje, jak w martwem bezwietrzu. I znowu szum się rodzi...

Salka się podniosła z ławy, oczami zmęczonemi spojrzała na Teklę.

— Dyć mi każcie co robić, bo tak czas uchodzi...

— Weź książkę i czytaj głośno. Usłyszę i ja coś z tego, choć po prawdzie, taki rozum zmącony, że się człek ani w modlitwie nie cieszy...

— To cóż chcecie, bych robiła?

— Skrob ziemniaki... Nie, prawda! jaka ja całkiem zatracona... Cóżby ci tu doradzić... Widać, że już i robić niema co na tem gospodarstwie. Dawniej był len — przędziło się... Było ziarna na utarcie... Była żywizna jakaś... Człek nie miał czasu i spocząć. I ktoby był pomyślał, że przyjdzie czas, kiedy nie bedzie co robić. Wtedy ino dziad nie miał co robić. Niejeden mu pozazdrościł. A patrz, do czego to dziś...

Nie skończyła, bo jej Salka przerwała:

— Ktoś idzie!

— Może Łukasz wraca...

— Nie, insze kroki...

Drzwi się uchyliły i do izby wsunął się nieduży chłopina o załzawionem wejrzeniu. Nie witał się z niewiastami, wchodząc jakby do swojej chałupy, bo też przez lata co dzień z niemi się widywał. Był to sąsiad najbliższy, Jantaszek. Z inszego wprawdzie osiedla był rodem, ale tu się już z młodu przyżenił do gruntu, a skoro żona mu pierwsza pomarła, sierota na ziemi bez dzieci ostawiony, wziął do chałupy wdowę, po mężu Danajkę, która mu za całe wiano przywiedła pasierba (jak się już wspomniało — Tomka) w takich krzepkich leciech, że mógł ojczyma we wszystkiem wyręczyć.

Ten to sąsiad, Jantaszek, przywlókł się jak zwyczajnie, w strapieniu swojem poszukując ludzi, którymby się mógł poskarżyć. Właściwie, to Jantoni było jego imię, ale że był nieszczęśliwy, a przytem śmieszny — gdy biadał ze łzami w oczach, że aż śmiech obalał ludzi —, to też nazywali go z prześmiechu Jantaszkiem, uważając go potrosze za niecałego gazdę.

Usiadł na ławie i, powlókłszy załzawionemi oczami po izbie, rzekł:

— U was tu dużo weselej...

Tekla uprzejmie przykiwnęła głową:

— Niedawno ściany obielone. Salka skądś takiej białej gliny wydostała...

— Dyć biało... widzę... ale ja nie o tem... Zawdy to, zawdy inaczej, jak inszy człowiek je w chałupie... Mnie haw już do urwania łba przychodzi... Już nie wiem, co se mam począć... Zrobisz co — to niedobrze... Powiesz co — to źle... I na żaden sposób nie wygodzisz, bo złość ma swoje widzimisię. Za jakie grzechy mnie Bóg skarał, to ja nie mogę wymiarkować...

— Cóż wam to tak dolega?

— Dy wiecie... Już sie mi zecnąć chce na świecie. Taka się stała teraz dokuczliwa, że świętegoby zatrapiła...

— Jakże wy ta z tą biedą dajecie se radę? — przerwała Tekla narzekanie, bo znała je, jak pacierz.

— Nijakiej rady nie widzę. I nie wiem, jak to dalej bedzie... Już ziarna niema ani na lekarstwo, tego owsa ta jeszcze coś staje... Ale co mnie najbardziej dziwi, to to, że ziemniaków ubywa z piwnicy, choć się ich nie je... Zaohabiło sie tę szczyptę do sadzenia i to się nie doczeka. Ktoś — widać — jest, co wynosi. Żeby ja go ino zdybał!

Oczy mu się zaszkliły; a niktby nie powiedział, że w tym człowieku złość może siadywać.

— No, nie będzie, to darmo — to człek wtedy wie, że niema... Ale teraz jeszcze cośby się uzgarnowało, choćby tego owsa pośledniego... Cóż kie ta się tak uwzięła, że nie chce nic gotować, żywcemby chciała umorzyć człowieka. A wiem, że ona ta o sobie pamięta. Chcesz człeku jeść, to se gotuj, to sie przedtem wykłóć, bo pozamyka wszystko, jakby to jej było. Już sie mi ani gadać o niej nie chce. Telo wam ino powiem: wolałbych dziadem być ostatnim — szedłbych se, kany by chciał, między dobrych ludzi... Miałbych co jeść, tobych jadł — a nie, to nie. I milejby mi było...

— O, dyć one wszystkim tak dokuczyły setnie te złe roki...

Jantaszek ciężko westchnął.

— Dla mnie złe roki nastały, odkąd Danajka jest u mnie...

Powiedział to tak żałośnie, że obu niewiastom słuchającym mimowoli uśmiech poweselił oczy. Tekla zaraz, chcąc zagadać, by zaś nie myślał, że z jego strapienia się cieszą, spytała:

— Podobno okół stawiacie?

— E dyć... Niech Bóg da zdrowie temu kumotrowi. Wyszedł i robi i o nic się nie napiera. Widziało się, że to niedobry człek, a patrzcie... Jak sie to trudno na kimś poznać.

— Jakże on ta w chałupie?

— O, je tak, jak gdowiec. Nie ma mu kto uczciwie warzywa ustroić. Ta dziopa, ledwo że łachy przez wodę przewlecze, niespore to, jak złaza. Biedny i on już od czasu. Tego syna ma, kalekę we słuchu i wzroku, którego na dodatek Cyprjanem ochrzcili, jak na śpas, tak, że sami ludzie potem musieli przemieniać, wołając na niego: Cupryn! E dy wiecie... (D. c. n.)

Czy alkohol jest pożywieniem?

(Dokończenie.)

Ale przypuśćmy na razie, że nam nie chodzi o zdrowie nasze fizyczne, o zdrowie całej ludności, a zwróćmy uwagę tylko na stronę duchową człowieka, pojonego alkoholem. Oto tu właśnie objawi się najfatalniejsza jego działalność; on, niwecząc narządy naszej duszy, psuje ją najzupełniej, aż z istoty rozumnej wytworzy nareszcie bydlę wstrętne, przekazujące, na domiar złego, swemu nieszczęśliwemu potomstwu wszystkie wady, przez się nabyte.

Jeżeli do tego obrazu znieprawienia osobnikowego, dodamy rozpaczliwy wizerunek nędzy ludu roboczego, nędzy, spowodowanej głównie nałogiem pijaństwa, następnie, jeżeli uprzytomnimy sobie demoralizację ogólną, powszechną, jako skutek konieczny „knajpy“, owe tysiące i miljony przestępstw, zbrodni, mordów, złodziejstw, defraudacyj, dokonanych i dokonywanych przez ludzi pijanych, a na ostatek, jeżeli wywołamy sobie przed oczy te całe zastępy nieszczęśliwego, anormalnie wykształcone potomstwa alkoholików, najniewinniej karanego losem za przestępstwa, popełnione przez rodziców bezmyślnych, to będziemy musieli uznać alkohol i wszystkie trunki wyskokowe za najbardziej zabójczą truciznę dla ludzkości; zaś tych ludzi, którzy lekkiem sercem udaremniają pracę nad uświadomieniem ludu o złych skutkach alkoholizmu, którzy, pod pretekstem umiarkowanego używania, dają zgubny przykład wszystkim, którzy dla marnej korzyści materjalnej, znieprawiają bliźnich, musimy napiętnować imieniem Kainów, stokroć gorszych od Kaina biblijnego, bo zabijających ludzi moralnie. Żadna obrona, czy to ze strony francuskich uczonych, reklamujących swoje wina, z których kraj ich ciągnie miljardowe korzyści, czy też ze strony piwowarów angielskich i niemieckich etc., zmienić już zapatrywań i przekonań, nauką uzasadnionych, nie potrafi. Lekkomyślność p. Duclaux, lekkomyślność pana F. R. i jemu podobnych, są to objawy n i e r o z u m u i dowodzą braku kompletnego w dziedzinie uczuć altruistycznych. Oni własnej przyjemności nie poświęcą dla szczęścia innych. Pragnąłbym najgoręcej, ażeby moje przekonania, które dzisiaj już są wyrazem myśli miljonów ludzi, miłujących ojczyznę i ludzkość, że t y l k o a b s t y n e n c j a c a ł k o w i t a z a r a d z i ć z ł e m u j e s t w s t a n i e — trafić mogły do serc redaktorów czasopism wszelkiej barwy politycznej i społecznej i ażeby wspólnie ze słabemi jeszcze dzisiaj wysiłkami towarzystw abstynencji starali się wieść społeczeństwo ku brzaskom lepszej przyszłości.

* * *

Już po oddaniu niniejszego artykułu dowiedziałem się o fakcie następującym: Znajomy mój, będąc w Stryju, czekać musiał na pociąg i był zmuszony przesiedzieć parę godzin wśród dymu, w poczekalni kolejowej. Obok, w restauracji, zebrało się dość liczne towarzystwo, lubujące się w zadusznej atmosferze prawdziwie szynkowej i raczące się obficie trunkami alkoholicznymi. Damy, kawalerowie, ojcowie familji, młodzież, wypróżniali bomby z wprawą podziwienia godną.

Wśród tego towarzystwa wesołego zaszła rozmowa o szkodliwości alkoholu i o abstynencji. Jeden z rycerzy cechu gambrynusowego oświadczył głośno, publicznie, że sam czytał w „Słowie Polskiem“, iż alkohol jest równie pożywnym, jak cukier i mączka, a wszelkie dowodzenia przeciwne są nieprawdziwe, skoro tak poważny organ, dbały o dobro publiczne, pospiesza zaznajomić swoich czytelników z ostatnimi wynikami nauki, wskazującymi, że „alkohol przeprosić trzeba, bo jest naszym przyjacielem, a nie wrogiem“. Oto rezultat lekkomyślności!

Ale po co nam te wszystkie skomplikowane i dla zwykłego śmiertelnika niedostępne doświadczenia, kiedy każdy, co się chce przekonać o szkodliwości alkoholu, może doświadczenia proste wykonać u siebie w domu. Jedno z takich doświadczeń proponuję tutaj: Weźmy dwa kartofle jednakiej miary i wagi, posadźmy je każdy osobno w doniczce w jednostajnej glebie i polewajmy jeden wytworem alkoholu, drugi roztworem cukru w jednostajnych proporcjach wziętych. O rezultatach doświadczenia proszę zawiadomić redakcję „Kurjera Lwowskiego“. Jeżeli kartofel, polewany alkoholem, wyda plon obfity, postawimy pomniki dla p. Duclaux, dla pana F. R. i dla redakcji „Słowa Polskiego“ na placu najwspanialszym Lwiego Grodu za to, że mieli odwagę cywilną stanąć w szlachetnej obronie niesłusznie i oszczerczo spotwarzonego „przyjaciela“ i dobroczyńcy ludzkości.

Dr. B. Dybowski.

BRIEUX.

Pierścień Nr. 3328.

(Dokończenie).

Kazano mi usiąść w loży portjera właśnie w tym czasie, gdy wychowankowie szkoły wracali do domu. Dwudziestu przynajmniej przeszło obok mnie i już myślałem, że mój wczorajszy klient był fałszywym kadetem, gdy naraz go ujrzałem.

— To on! — rzekłem do stojącego obok oficera.

— Czy jesteś pan pewnym?

— Przysięgam!

— Dobrze. Możesz pan odejść. Skoro pana będziemy potrzebowali, to go wezwiemy.

— Odszedłem do pewnego stopnia zawstydzony. Mimo całego przeświadczenia, że postąpiłem rzetelnie, nie mogłem się jakoś uspokoić.

— O tem, co się dalej stało w zakładzie, dowiedziałem się znacznie później. Komendant szkoły wezwał wychowanka do siebie i począł go wypytywać. On wyparł się kradzieży, ale śledztwo, przeprowadzone przez jego kolegów, wykazało, że był graczem i rozrzutnikiem. Pomimo braku majątku, miał bardzo wymagającą kochankę; w szkole miał same złe noty.

— Gdy się o tem z gazet dowiedziałem, doznałem pewnego uspokojenia. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że złodziejem nie był nikt inny, tylko on.

— Po trzech miesiącach śledztwo było już ukończone... a to, co później zaszło, jest tak straszne, że nie mam siły, aby to panu opowiedzieć. W kryminale nie ma takich zbrodniarzy, jakim ja się wówczas stałem.

— Wspomnieć jeszcze muszę, że odwiedzającym mnie dziennikarzom opisywałem szczegółowo cały wypadek, że cała opinia tak się już ułożyła, jako nikt inny nie mógł być sprawcą kradzieży, tylko on.

— Pewnego wieczora żona zeszła z pierwszego piętra, gdzie się znajdowało nasze mieszkanie i blada, jak płótno, mówi do mnie:

— Gustawie, chodź na górę, mam ci coś pokazać.

— Poszedłem. Na górze wręczyła mi mały przedmiot, owinięty w biały papier jedwabny.

— Na pierwszy rzut oka poznałem pierścień nr. 3328

Długo siedzieliśmy w milczeniu naprzeciwko siebie i nie mogąc znaleźć słowa, patrzyliśmy na nieszczęsny pierścień, który świecił blaskiem swego brylantu.

Oto wyjaśnienie. Gdy żona moja w czasie odwiedzin młodego człowieka miała zamiar złożyć już pudełka do szafy, musiała przedtem wysunąć szybę szklaną. Wzięła więc pudełko z pierścieniem do lewej ręki; gdy zaś młody człowiek zażądał innych pierścieni, postawiła je na ladzie sklepowej. Skutkiem tego poruszenia, sam pierścień usunął się i wpadł do stojącego tuż obok starego parasola. Widzisz, generale, co za nieszczęśliwy przypadek grał w tem wszystkiem rolę, gdyż właśnie parasol ten był nieużywany od dawna, jako stary i popsuty, i dopiero teraz, gdy żona przypadkiem go otworzyła, aby popatrzeć, czy przecież nie da się jeszcze użyć, pierścień wypadł na ziemię.

Ostatecznie można nam było zarzucić tylko brak przezorności, ale jakimi tchórzami byliśmy oboje z żoną, to, generale, zaraz zobaczysz.

*

— Pierwsze słowa nasze były: „Co za nieszczęście!“... a potem: „co mamy robić dalej?...“

— Rzecz prosta — pójdę jutro rano do komendanta i opowiem mu wszystko.

— Naturalnie, jest to jedyne, co można w tym wypadku zrobić — odpowiedziała żona.

— A jednak tegośmy nie zrobili!

— Ale, co o nas ludzie powiedzą?

Gazety o nas pisać będą, stracimy całą klientelę... a nawet mogą nas sądownie ścigać...

— Jest to możliwe?

— Naturalnie, a nawet będziemy musieli zapłacić grube odszkodowanie.

— Ale, niech się dzieje, co chce, my przecież niewinnego nie możemy dać zasądzić!

— Prawda; ale to nas wpędzi w ruinę, gdyż każdy może powiedzieć: „zanim się przyszłego oficera o kradzież obwini, trzeba być przedewszystkiem pewnym faktu.

— Przez całą noc myśleliśmy o tem, aż wreszcie postanowiliśmy dopiero w czasie rozprawy powiadomić o wszystkiem prezydenta.

— A czy wiesz, co się wtedy stanie? — zapytała żona — sąd nie będzie nam wierzył, powie, żeśmy zostali przekupieni?

— Dlaczegoż?

— Gdyby tu chodziło o młodzieńca pilnego, wzorowego, tobyśmy nie powinni byli się wahać, gdyż nasza ofiara przyniosłaby rzeczywistą korzyść. Tu jednak chodzi o młodzieńca jaknajgorszego prowadzenia się; a zresztą, kto wie, czy on w rzeczywistości nie przyszedł do nas w zamiarze kradzieży,..

— Co też ty mówisz!

— Naturalnie; przecież zostało udowodnionem, że nie miał on wcale pieniędzy, a kochanka groziła mu porzuceniem, jeżeli jej nie kupi kosztowności.

— No i co z tego?

— Jeżeli więc zrobimy, jak radzisz, to nikt nam nie uwierzy, a każdy sądzić będzie, żeśmy przez jego rodzinę zostali przekupieni... Przyszłość tego nieszczęśliwego już i tak jest stracona...

— Ale przyszłość ta jeszcze będzie straszniejszą, jeżeli dopuścimy do wyroku.

— W ten sposób zastanawialiśmy się ustawicznie nad skutkami naszej prawdomowności i ostatecznie tyleśmy znaleźli wymówek na usprawiedliwienie naszej zbrodni, że postanowiliśmy ukryć pierścionek...

Ale i z ukryciem nie była rzecz łatwa. Nie byłem fachowym złotnikiem, aby pierścień na części rozebrać — o sprzedaży nie było mowy — więc owinęliśmy go w papier, a ja sam nocą i w największej tajemnicy wrzuciłem go do Sekwany...

— Na drugi dzień przeczytaliśmy w dziennikach następującą wiadomość: „Wychowanek szkoły wojskowej, o którym onego czasu donosiliśmy, że ukradł na szkodę poważnego kupca z Rue de la Paix pierścień brylantowy, osądził się sam wczoraj wieczorem, gdyż z rewolweru, który mu zapomniano odebrać, pozbawił się życia. Opowiadają nam, że jeszcze przed oddaniem sprawy sądowi wręczył mu jeden z kolegów nabity rewolwer, ale złodziej nie mógł, czy nie chciał, zrozumieć znaczenia tego podarunku. Wczoraj uwiadomiono go o odbyć się mającej rozprawie w sądzie, a on zażądał, aby go ów kolega raz jeszcze odwiedził. Po skończeniu tej wizyty, odebrał sobie życie.

— Reszta już wiadoma panu. Żona moja umarła ze zgryzoty, a ja zostałem przy życiu, aby moją zbrodnię odpokutować.

*

W ośm dni później, karawan dla ubogich odwiózł zwłoki tego nieszczęśliwego człowieka na miejsce wiecznego spoczynku.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *W schronisku nocnem.* Szkic dramatyczny w 4 aktach, M. G o r k i j a. Brody, Nakładem księgarni Feliksa Westa. — Nakładem ruchliwej księgarni brodzkiej, wyszło tłumaczenie dramatu Gorkija, który obecnie na wszystkich scenach europejskich — a w ostatnich dniach i we Wiedniu — olbrzymie wywarł wrażenie. Treść tego dramatu w ogólnych zarysach jest następująca: Starszy już człowiek Kostylew i młodsza od niego znacznie żona, Wasylisa, dają w piwnicznej części swojego domu przytułek ludziom, stanowiącym najgłębsze męty społeczne. Mieszkają tu najciemniejsze egzystencje, z których Kostylew ciągnie dochody nie tylko za najem mieszkania, ale także jako ukrywacz i kupiec skradzionych rzeczy. Młody, piękny człowiek Waśka Piepieł jest kochankiem Wasylisy, ale serce ciągnie go raczej w stronę jej siostry Nataszy, która, jak czysty kwiat, wyrasta na tem bagnisku mimo prześladowań i szykan ze strony siostry i szwagra. Waśka jest potomkiem rodziny złoczyńców, od pierwszych lat dzieciństwa traktowany był jako złodziej, więc nic mu innego nie pozostało, jak stać się rzeczywiście złodziejem. W przytulisku tem znajduje schronienie także niejaki Satin, który pięć lat przesiedział w więzieniu za zabicie człowieka, który zhańbił jego siostrę. Towarzystwo więzienne zepsuło go zupełnie, tak samo, jak życie wykoleiło i do ostatniej ruiny doprowadziło dwu dalszych lokatorów schroniska, barona i aktora.

Wasylisa namawia kochanka swego Waśkę, aby wspólnie z nią zamordował jej męża Kostylewa i obiecuje mu za to oddać Nataszę. W trzecim akcie przychodzi rzeczywiście do zabójrstwa, a Wasylisa wskazuje na Waśkę, jako na tego, który zabójstwa dokonał. Główni sprawcy idą do więzienia. — Czwarty akt przedstawia resztę lokatorów schroniska, jak bawią się, piją i spiewają. Akt ten, składający się wyłącznie z luźnych scen i obrazów, kończy się samobójstwem aktora.

W towarzystwo nędzarzy wchodzi stary pielgrzym Łukasz. Jest to rodzaj włóczęgi, bez stałego miejsca zamieszkania. Przeszłość jego jest ciemna, popełnił on widocznie jakiś czyn, który go raz na zawsze wykluczył z ludzkiego społeczeństwa. Ale to życie wśród występku i zbrodni dało mu mądrość i doświadczenie filozofa. Jego pojawienie się, zdania głębokie a niezwykłe, łagodność, przebaczenie i ta cała jego filozofja jaskrawo odbijają od całego jego otoczenia. W ostatnim akcie Łukasz znika nagle, a pozostali omawiają jego osobistość i zapatrywania. Satin go bierze w obronę przed atakami przyjaciół i wyjaśnia całą, dobrą duszę tego człowieka. Pod wpływem tego poczyna na pół zidjociały baron zadawać sobie ostateczne pytanie, po co się on właściwie urodził, po co żyje. — W ostatniej scenie prowadzi autor czytelnika do największego zwątpienia i rozpaczy. Sztuka kończy się ogólną pijatyką nędzarzy, w którą, jako przykry dysonans, wpada wieść, że aktor powiesił się w kącie podwórza. Ostatniemi słowami sztuki są te, które na tę wiadomość wygłasza Satin: „Ech, zepsuł nam śpiewkę... bał-wan!"

Cała sztuka obfituje w prawdziwie silne i wstrząsające sceny, które w tłumaczeniu dra Wasyla Szczurata wychodzą bardzo żywo i pięknie, tak, że prawdopodobnie nie uroniły ani krzty piękności oryginału. *I.*

SZTUKA. *Wystawa zbiorowa śp. Henryka Grabińskiego,* otwarta obecnie w salonie Latoura, jest pięknym aktem pietyzmu, należącym się pamięci niedawno w mieście naszem, w zupełnem prawie zapomnieniu zgasłego, wybornego pejzażysty. Składa się ona z kilkudziesięciu obrazów, studjów i szkiców, które tworzą całość, dającą wyczerpujące pojęcie o całokształcie tej zapewne niepierwszorzędnej, niemniej jednak prawdziwie wartościowej, a nawskróś w charakterze swym polskiej twórczości. Zmarły dnia 21. stycznia br. we Lwowie śp. Grabiński ma w dziejach polskiego pejzażu zapewnione miejsce zaszczytne. Twórczość jego wobec dzisiejszych postępów sztuki wydać się może przestarzałą i staromodną; ponieważ jednak opiera się na gorącem umiłowaniu i subtelnem odczuciu przyrody, zawiera w sobie nieśmiertelne pierwiastki prawdziwego artyzmu, tem bardziej, że niezaprzeczony talent Grabińskiego szedł zawsze w parze z ogromną sumiennością i pracowitością. Grabiński, uczeń Zimmermanna, jest w krajobrazie polskim bezpośrednim poprzednikiem dzisiejszych naszych pejzażystów. Ten sam w nim liryzm i miękkość, co np. u Stanisławskiego: brak tylko poprostu odwagi, większego temperamentu i środków, zdobytych dziś przez współczesną sztukę europejską. Ta zbiorowa pośmiertna wystawa jego robi przedewszystkiem wrażenie dziwnie wzruszające. Z każdego z tych drobnych obrazków, nieraz wybornych (jak np. ta droga wzdłuż białego wapiennego brzegu), uderza nas jakaś wielka serdeczność i prostota i po za sumiennym i w sztuce swej rozkochanym artystą wyczuwać każe szlachetną, zbolałą a skromną i cichą duszę ludzką. Zwłaszcza, gdy się pomyśli, że śp. Grabiński, który po ukończeniu studjów w Wiedniu, Monachjum i Paryżu, zostawszy profesorem szkoły krakowskiej, posadę tę po dwu latach, z powodu choroby nieuleczalnej, opuścić musiał i odtąd przez 20 lat do wózka był przykuty, jednak do ostatniej chwili pendzla z rąk nie wypuszczał i do śmierci, która go w 53. roku życia zabrała, sztuce swojej wierny pozostał!... Obecna wystawa jest wprawdzie nieco monotonną, jako całość, niemniej jednak dla każdego, ktokolwiek zajmuje się sztuką polską, wysoce interesującą i pouczającą. Tem bardziej, że równocześnie wystawione krajobrazy Ruszczyca i Stanisławskiego, oraz Pankiewicza (kompletny zbiór jego przewybornych akwafort) nastręczają pole do ogromnie ciekawych porównań i refleksji na temat dawniejszego i współczesnego krajobrazu wogóle, a krajobrazu polskiego w szczególności. *A. C.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.